

Prof. dr HENRYK MITOSEK — prodziekan  
Wydziału Rolniczego d/s Studiów  
Zaocznych WSR w Lublinie

## NIKTÓRE PROBLEMY STUDIÓW DLA PRACUJĄCYCH

Studia dla pracujących nabierają szczególnej aktualności i znaczenia wobec perspektywy dalszego rozwoju tej formy nauki w nadchodzących latach. W planach perspektywicznych do 1980 roku przewiduje się wzrost limitów przyjęć na I rok studiów rolniczych przeszło dwukrotnie. Oznacza to, że w 1980 roku na studiach rolniczych dla pracujących kształcić się będzie tyle studentów co na studiach stacjonarnych. Ponadto na podkreślenie zasługuje fakt organizowania studiów dla pracujących na niemal wszystkich kierunkach studiów stacjonarnych. Jeśli chodzi o Wyższe Szkoły Rolnicze, to nie przewiduje się uruchomienia tej formy studiów tylko na wydziałach weterynaryjnych.

Planowany wzrost liczby studentów jest tylko jednym z elementów studiów zaocznych dla pracujących. Może jeszcze większe znaczenie posiadają próby zmierzające do usprawnienia organizacji samych studiów oraz modernizacji procesu nauczania.

Dotychczasowe niedomagania rolniczych studiów dla pracujących to przede wszystkim ich niska sprawność. W porównaniu ze studiami stacjonarnymi, których sprawność wynosi 65 do 70 proc., na studiach dla pracujących spada ona do 30 proc.

Podstawową przyczyną tak małej sprawności tego rodzaju studiów jest odpad studentów, tj. rezygnowanie ze studiów zaraz po ich rozpoczęciu. Niemniej należy zaznaczyć, że pod tym względem zaczyna się zarysowywać ostatnio pewna poprawa. Mianowicie na studia zaoczne, a widać to bardzo wyraźnie w lubelskiej WSR, zgłasza się coraz więcej osób młodych, w rok, dwa lub najwyżej w kilka lat po uzyskaniu świadectwa dojrzałości. Wstępne obserwacje poczynione w ciągu dwu ostatnich lat potwierdzają, że osoby te z uporem robią wszystko co mogą, aby na studiach tych się utrzymać. Zresztą samo dostanie się na studia zaoczne jest obecnie sprawą o wiele trudniejszą niż to bywało w latach poprzednich.

Przyczyna małej sprawności nauczania leży niewątpliwie w niedomaganiach pracy dydaktycznej uczelni. Między innymi system kształcenia zaocznego wymaga w wielu kwestiach odmiennego traktowania i innych rozwiązań niż studia stacjonarne. Aby studia zaoczne były sprawniejsze należy dążyć do przystosowania planu studiów i treści programów do warunków i potrzeb kształcenia ludzi dorosłych w trybie zaocznym. W tym zakresie należy również unowocześnić metody nauczania i doskonalić pracę samokształceniową studenta. Stwierdzono na przykład, że studenci nie umieją robić notatek z wykładów oraz wyciągów z przerabianej literatury naukowej. A przecież bez znajomości tego rodzaju tajników ani rusz na studiach, zwłaszcza na studiach zaocznych, gdzie samokształcenie odgrywa dominującą rolę. Dlatego też jeden z pierwszych wykładów winien być poświęcony temu właśnie zagadnieniu i to przez wytrawnego specjalistę dydaktyki.

Jest rzeczą bezsporną, że o wynikach nauczania decyduje w dużej mierze jakość skryptów i podręczników. Tymczasem obecne zaopatrzenie studentów w pomoce naukowe nie należy jeszcze do najlepszych. Podręczniki i skrypty dla tej formy studiów winny odznaczać się zwięzłością, jasnością stylu oraz dobrym układem ilustracyjnym.

Ogromne niezadowolenie wśród studentów studiów zaocznych budzi zbyt krótka sesja egzaminacyjna, żywym przeniesioną ze studiów stacjonarnych. W ciągu mniej więcej trzech tygodni należy złożyć na bie-

żąc kilka kolokwium i kilka egzaminów, wymagających wielu znajomości szczegółów i najczęściej z przedmiotów zupełnie ze sobą nie związanych tematycznie. Tego rodzaju przepisy wzbudzają wątpliwości, czy są one słuszne na studiach stacjonarnych, gdzie młodzież poświęca się wyłącznie nauce, a cóż dopiero mówić o studiach zaocznych, na których trzeba godzić naukę z kłopotami rodzinnymi i pracą zawodową. Zdarza się, i to wcale nierzadko, że w czasie sesji egzaminacyjnej niektóre zakłady pracy mają wtedy również do załatwienia bardzo pilne sprawy, w których udział ich pracownika, a naszego studenta, jest bezwzględnie konieczny. Trudno jest w tej chwili dociec, czy tak jest istotnie, czy jest to, powiedzmy delikatnie, jakaś złośliwość, czy też bądźmy szczerzy, tylko uprzejmość względem studiującego zaocznie, który z takich czy innych przyczyn nie mógł przygotować się do egzaminów.

Ponadto znany jest powszechnie fakt, że studenci nigdy tyle nie chorują jak w czasie sesji egzaminacyjnej. I to zarówno w zimowej sesji egzaminacyjnej, w lutym jak i w sesji letniej, w czerwcu.

Przyczyną małej sprawności studiów dla pracujących w Wyższych Szkołach Rolniczych należy szukać także i poza uczelniami. Najważniejsze z nich to warunki pracy zawodowej, co już podkreślano, ograniczone możliwości uczenia się studiujących, niewielkie, lub zgoła żadne możliwości korzystania w miejscu zamieszkania z jakiejś pomocy bądź konsultacji w przypadku napotkania trudności w zrozumieniu przerabianej partii materiału. Odnosi się to głównie do takich przedmiotów, jak matematyka, fizyka, chemia. Student widząc, że nie daje sobie rady zaczyna się denerwować, zniechęcać do nauki i wreszcie przy małej odporności psychicznej załamuje się, rezygnując w ogóle z dalszego kształcenia się. Są przypadki, że po kilku latach przerwy ponownie wraca na studia.

Dalej niskiej sprawności studiów należy szukać także w warunkach materialnych, zwłaszcza jeśli uczący się obarczony jest większą rodziną. Z kolei w klimacie panującym w domu i w zakładzie pracy.

Wymienione przyczyny oczywiście nie wyczerpują całości tego dość złożonego zagadnienia. Jest ponadto cały szereg przyczyn, jak np. szczupłość sal wykładowych, brak pomieszczeń noclegowych dla studentów w czasie zjazdów oraz trudne, niekiedy wręcz złe warunki mieszkaniowe niektórych studentów.

W celu prawidłowego rozwiązania już istniejących i z roku na rok narastających problemów, powołany został do życia przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego Ośrodek Metodyczny Studiów dla Pracujących przy SGGW w Warszawie. Skład osobowy Rady Ośrodka jest reprezentowany przez wszystkie Wyższe Szkoły Rolnicze w kraju. Prace Ośrodka mają głównie za zadanie 1) prowadzenie i koordynowanie badań nad skutecznością procesów kształcenia na studiach dla pracujących, 2) gromadzenie, opracowywanie i upowszechnianie doświadczeń z zakresu organizacji i dydaktyki studiów oraz opracowywanie nowych form i metod pracy dydaktycznej, 3) systematyczna praca nad oceną przydatności podręczników, skryptów, przewodników metodycznych i innych pomocy naukowych.

Do sprawy zaocznych studiów rolniczych w lubelskiej Wyższej Szkole Rolniczej zamierzamy powrócić w następnym artykule, który chcemy poświęcić wyłącznie tegorocznym kandydatom na Wydział Rolniczy studiów zaocznych.

Jan Grygiel



... „Za przełomem Wisłoka bariera zielonych wzgórz pozostaje poza nami i oczom turysty ukazuje się romantyczna panorama starego miasteczka Fryszta, którego zarysy w kształcie ostrogi panują z wysokiego wzgórza nad szeroką w tym miejscu doliną Wisłoka. Widok godny włoskiego krajobrazu, żywo przypomina plenery filmów o czasach średniowiecza...”

Łatwo się zgodzić z tym okrzykiem zachwytu, gdy się przejeżdża szosą w dolinie rzeki i spogląda na wieńczące, jak kopia, szczyt góry 700-letnie miasteczko. Wyniośły i stary Fryszak wprawdzie dziś już nie panuje nad okolicą — zszarzał i spokojniał, lecz pamięć o dawnej świetności podtrzymuje na duchu jego mieszkańcy. Pierwszy bowiem dokument oficjalny dotyczący Fryszta pochodzi z roku 1277. Bolesław Wstydlawy zatwierdza w nim prawo własności klasztoru Cystersów z Koprzywnicy i między innymi jego posiadłościami wymienia Fryszak.

Nielatwe były jednak początki dziejów miasta — tak jak zresztą pełna burz, cieni i tragizmu była cała jego historia. Trzy razy zrywano go budować od nowa, za każdym razem w innym miejscu.

Pierwszy Fryszak położony u stóp wzgórza spalili doszczętnie Tatarzy w czasie najazdu w XIII w. To miejsce do dziś nazywa się „Pogorzałami”. Po raz drugi zaczęto budować miasto na szczycie wzgórza na podstawie dokumentu Władysława Łokietka. Trzecia lokalizacja — w przywileju Kazimierza Wielkiego przewidywała budowę nowego miasta na prawym brzegu Wisłoka — miało ono nazywać się „Wisłok”. Trzeba było wiele sprytu i zabiegów ze strony mieszczan, istniejącego już na gorze grodu, by uzyskać cofnięcie przywileju. Oba-

włano się, że nowa osada wchłonie stare miasto i zniszczy jego samodzielność.

A później? Historia niczego nie oszczędziła Fryszakowi prócz sławy, potęg i świetności. Nigdy bowiem gród nad Wisłokiem nie cieszył się wielkim znaczeniem strategicznym, rozkwitem handlowym czy sławą wielkiego ośrodka kulturalnego. Nie było tu wielkich, sławnych rodów, nie odniesiono w tym miejscu znaczących zwycięstw ani nie poniesiono druzgocących klęsk. A jednak Fryszak brał żywy udział w naszych dziejach — niczego złego bowiem losy mu nie darowały. Przeżył solidarnie z całym tym skrawkiem Europy położonym w dorzeczu Wisły wszystko, co składało się na polski los. Obejmowały go swym skrzydłem pożogi wojenne, pożary i klęski dziejowe. Oto przykłady: w roku 1474 spalili Fryszak Węgrzy — w 1656 — Szwedzi, w 1772 — jako jeden z żywych ośrodków Konfederacji Barskiej puścili go z dymem — Moskale. W roku 1805 pożar strawił prawie całe miasto i znów w roku 1892 po wielkim pożarze pozostały z Fryszta tylko popioły. Nie oszczędziła go również historia najnowsza. W roku 1944 linia frontu przez 6 miesięcy przebiegała w jego najbliższej okolicy. Miasteczko kilka razy przechodziło z rąk do rąk. Wynik wojny — 70 proc. zniszczeń i ubytek około 70 proc. ludności wymordowanej, względnie poległej w walkach w latach 1939 — 1944.

Ten skrót dziejów Fryszta nie napawa wielkim optymizmem. Mimo wszystko jednak budzi żarliwe przywiązanie do rodzinnego miasta i osobliwą dumę z tragicznej jego przeszłości u dzisiejszych spadkobierców dwuznaczej „sławy i chwały” Fryszta.

Jest ich w mieście sporo. Mgr Jan Lubojemski od wielu lat gromadzi w dokumentach i kronikach, szuka ostatnich szczytków przeszłości miasta, pracuje nad monografią Fryszta... On jest jednym z inicjatorów jubileuszowych uroczystości i głównym motorem przygotowawczym do 700-lecia grodu. Pokazuje mi z dumą szczyłek kafla z XVI w. stanowiący dziś ostatni fragment obronnego zamku znajdującego się kiedyś na terenie dzisiejszej wsi Twierdza. — Bo były tu kiedyś panie redaktorze dwa zamki obronne — powiada. Jeden na gorze naprzeciw dzisiejszego kościoła — własność znanego Mikołaja Fryszackiego, a drugi późniejszy, u podnóża góry, w Twierdzy. Nazwa wsi wskazuje, iż był tu dwór czy zamek o charakterze strategicznym. Gdy zdradzam się, że nie wiem kto to był Mikołaj Fryszacki, mój rozmówca tłumaczy mi cierpliwie: — „To jeden z właścicieli Fryszta, mieszczanin późniejszej nobilitowany — maż zaufania króla Władysława III. Szczycimy się nim, bo brał udział w bitwie pod Warną — był, jak wspomina Długos, jednym z wodzów wojsk polskich i węgierskich w tej wyprawie. Konflikt z Turkami jak wiadomo nie skończył się dla nas najlepiej, ale naszemu rycerzowi

Rys. J. SIENKIEWICZ

udało się ująć cało z pogromu i wrócić do rodzinnego Fryszta...”  
Dochodzimy obaj do wniosku, że widocznie nie wszystko musiało być w pełnym porządku ze strony tego wodza w kampanii tureckiej, skoro, po pierwsze: sromotnie przegrał, po drugie wrócił z boju nie „z tarczą lub na tarczy”, lecz po prostu bez tarczy... i po trzecie — skoro Węgrzy mieli do niego tak żywe pretensje, iż w 30 lat później napadli na jego gród nad Wisłokiem i dokładnie spalili. Ale ponieważ nie na pewno nie wiemy — pozostawiamy osobę pana na Fryszta w aureoli rycerskości i zasług dziejowych.

Mój rozmówca w trakcie historycznych wspomnień pokazuje dziesiątki zdjęć, jest bowiem również fotoamatorem — dziesiątki wycinoków z prasy, zbiór starych monet i sporo rozmaitych staroci. Wycinok z Przekroju, Panoramy, Chłopskiej Drogi i wielu innych pism m. in. także i z Nowin Rzeszowskich zawierają informacje, notatki, ciekawostki, reportaże i artykuły dotyczące przeszłości Fryszta i okolicy. Większość z nich opublikował sam Lubojemski. Są to wyniki jego szperaczkiej pasji i włośności po okolicy.

A przecież to wszystko nie wiąże się z kierunkiem jego wykształcenia i zawodem prawnika. Zony zwykle mawiają do takich mężów — po co ci to wszystko, co to masz — sąsiedzi stukają się znacząco palcem w czoło na ich widok lub w najlepszym razie obdarzają przydomkiem dziwaka. Trudno im zrozumieć, jak może facet w dobie bodźców ekonomicznych łazić po strychach, grzebać w piłe starych piśmiel i gromadzić rupiecie, skoro mu nikt za to nie płaci.

We Fryszaku inaczej. Tu gdzie żyje się wspomnieniami tradycji, historycznych tacy ludzie są szanowani i powszechnie znani. Dlatego nie miałem również żadnych trudności w nawiązaniu kontaktu z drugim miłośnikiem dziejów Fryszta — kłębem kłębem Józefem Świeradem. Starszy już, zmęczony człowiek chowający w rękawie jedno ramie pozabawione dioni ożywia się w rozmowie i z bliskimi w oczach pokazuje co cenniejsze osobliwości domowego archiwum. Oto metrykalne zapisy parafii fryszackiej z XVII w. Pan Świerad szuka w nich śladów istnienia szkoły w miasteczku.

Oto starodruk z 1780 r. zawierający żywot świętego Jana Kantego. Mój rozmówca zauważył, że okładka kłęb jest wyklejona papierowymi wyciętymi wycinokami. Po rozklejeniu okazało się, że wycinok stanowią karty dużo starszego druku łacińskiego, chyba z początku XVI w. Trzeba było wiele umiejętności, cierpliwości i uporu, by sprasowane, szerniałe i zbutwiały karty delikatnie rozkleić, oczyścić i odczytać. Pochylamy się nad nim — archiwista amator wskazuje mi ciekawsze ustępy. Jest to zbiór norm prawnych i przepisów dotyczących koronacji w Polsce.

# Są takie miasteczka

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Rozmawiamy później o chałupniczych placówkach do badania protonajonów dzieł kraju i o roli dyktantów w budzeniu świadomości historycznej mieszkańców wsi i miasteczek. Pan Świerad wymienia jeszcze jednego historyka Frysztaka, który stał się dla niego wzorem. Był to nauczyciel szkoły tutejszej Józef Piętiewicz pracujący w niej od roku 1884 do 1900. Napisał on monografię historyczną Frysztaka (jej rękopis odnalazł i zakupił dla Prez. PRN w Strzyżowie Jan Lubojemski), opracował obszerny szkic o Mikołaju Frysztackim zamieszczony przez Władysława Sarne w „Opisie powiatu jaśielskiego” i prowadził przez wiele lat kronikę szkoły tak dokładnie, w przecięciu wagi każdego szczegółu, iż stanowi ona dziś nieocenioną kronikę całego Frysztaka z II poł. XIX w. (Do sprawy tej kroniki wypadnie mi jeszcze w najbliższym czasie powrócić).

Co najdziwniejsze — tak jak kiedyś Piętiewicz, tak obecnie Świerad wywodzi się z Jasła, a obydwa pół życia poświęcili dla dobra miasteczka na wzgórzu. Rozpisałem się szeroko o dziejach miasta i jego dziejopisach, bo jestem przekonany, iż w takich małych osadach, których dziś na mapie nie widać skromni urzędnicy, nauczyciele i działacze miejscowi, najsukuczniej czczą Tysiąclecie naszych dziejów, i czynią to już od dawna.

A Frysztak dzisiejszy? Powiedziałem wyżej, iż spokorniał, zszarzał i zmalał. Nie ma już miasta nad Wisłokiem liczącego ponad 2 tys. mieszkańców. Jest wieś o 716 mieszkańcach. Z żalem i pretensją wspomina się tu rok 1932, kiedy gród na wzgórzu utracił prawa miejskie. Nie ma już śladów odległej przeszłości — choćby ze święcą szukać nie znajdziesz ani utoraka muru, który by potwierdzał 700-letnią historię Frysztaka. Z ruin zamku na terenie Twierdzy hrabia Mycielski zbudował w Wiśniowej w XIX w. swój pałac. Miejscowa anegdota mówi, że zakupił tania od właściciela dóbr frysztańskich zrujnowany zamek pod warunkiem, iż rozbiere go i przewiezie do Wiśnio wej w ciągu jednej nocy. Warunek został spełniony, chociaż padło przy tej okazji wiele koni chłopskich i hrabiowskich.

Pozostały jedynie świadectwa najnowszej, XX-wiecznej przeszłości miasta — wdeptane w zboże, powywracane i spękane płyty kirkutu są smutnym pomnikiem około półtoratysięcznej grupy frysztańskich Żydów wymordowanych w Warzycach przez hitlerowców. Tak straciło miasto w ciągu jednego dnia 70 proc. swoich mieszkańców. Pozostał również w pobliskiej Cieśzynie potężny schron betonowy — kwatery sztabu generalnego Wehr-

machtu i Hitlera w pierwszych miesiącach wojny ze Związkiem Radzieckim.

Przechodzę półkilometrowym tunelem osłanianym przez przeszło 2-metrowe żelazo-betonowe mury. Wartownik obiektu, w którym dziś mieści się magazyn rybny opowiada o dziejach bunkra. — „Niemcy wysiedlili mieszkańców całej doliny — było tu pełno wojska, żandarmerii i SS-manów. Przy budowie pracowało z 10 tys. ludzi. Doprowadzono tu tor kolejowy, którym wjeżdżał do tunelu wielogonowy pociąg sztabu Hitlera. Tu odbyło się w sierpniu 1941 r. spotkanie Hitlera, Mussoliniego i Ribbentropa. Hitlera zresztą widywa-

liśmy i po raz pierwszy w swych dziejach osada z drewnianej zamienila się w murowaną. Przewadziła 1-piętrowe domy z wodą bieżącą, gazem i światłem elektrycznym niewiele mają wspólnego z wielowiekową historią miasta. Bo przeszłość przeszłością — powiedzieli sobie mieszkańcy Frysztaka, ale trzeba z czegoś żyć dzisiaj. Zamienili więc osadę w ośrodek handlowo-usługowy dla całej rolniczej okolicy. Jest tu 18 dobrze zaopatrzonych sklepów, 10 punktów usługowych i 7 niedużych zakładów przemysłowych dających zatrudnienie około 250 osobom. Wydaje mi się, że to jedynie słuszna droga rozwoju ekonomicznego Frysztaka,



Fot. J. LUBOJEMSKI

no tu kilkakrotnie... Patrzę na ten pomnik pychy i upadku III Rzeczy i myślę, że ten „zabytek” nie tak łatwo podda się niszczeniu działaniu czasu. Nie można tego kolosa rozobrać, nie można wysadzić w powietrze, trzeba go więc oswoić i zmusić, tak jak się zresztą stało, do pełnienia poniższej roli gigantycznej piwnicy.

Poza tymi pamiątkami z wojny i okupacji nic innego nie pozostało. Nawet śladów zniszczeń po półrocznych działaniach frontowych, mimo iż 3/4 miasta legło wtedy w gruzach. Frysztak dzisiejszy jest osiedlem nowym. Przeszło połowę domów zbudowano w ostatnich la-

miasteczko bowiem nie może liczyć na większe inwestycje przemysłowe. Dzięki konkurencji dwóch przedsiębiorstw handlowych MHD z Krosna i Pow. Sp-ni Zaopatrzenia i Zbytu ze Strzyżowa na terenie osady mieszkańcy powiatowego Strzyżowa jeżdżą na zakupy do Frysztaka. Liczą się tu także na obroty związane z ruchem turystycznym i letniskowym. Piękne położenie i znakomite warunki zdrowotne już co roku ściągają tu kilkudziesięciu ludzi na odpoczynek. Poza tym miasteczko leży przy przelotowej trasie wiodącej w Beskidy Niski. Dla tych celów otwarto tu przed dwoma miesiącami kombinat gastronomiczny, którego nie powstydziłoby się duże miasto powiatowe. „Jubilatka”, bo tak się

zakład nazywa, składa się z baru, restauracji, kawiarni z dancinngiem i hotelu o 27 miejscach noclegowych. Wprawdzie złośliwi twierdzą, że Frysztak otrzymał ów kombinat przy pomocy, zbudowano go bowiem według projektu typowego przewidzianego dla miast kilkutyśięcznych. Ci, którzy potwierdzali projekt dla Frysztaka, może nigdy przedtem tu nie byli, nie przypuszczali, iż liczy on 700 mieszkańców. Nie wiadomo jak to było. Ważne jest to, że lokal jest piękny, monumentalny, jak na otoczenie i ma świetną kuchnię. A może „Jubilatka” została świadomie wzniesiona przez GS na wyrost, na okres, w którym Frysztak wróci do rzędu miast?

Dwukrotnie bowiem mieszkańcy osady starali się o przywrócenie praw miejskich — po raz pierwszy w roku 1952 i po raz drugi w roku ubiegłym. Niestety bez skutku. Zbyt mała ilość mieszkańców i brak czynników miastotwórczych — stwierdził Prez. WRN i załatwiono Frysztak odmownie. Może istotnie warto jeszcze trochę zaczekać. Wierzę jednak, że przy swoich ambicjach i uporze mieszkańcy dzisiejszej wsi dopną kiedyś swego, przywiązani są bowiem wyjątkowo do Frysztaka i jego tradycji.

Świadczy o tym ich aktywność w czynach społecznych. Uporządkowano osadę, położono asfaltową nawierzchnię w centrum, doprowadzono gaz do mieszkań i wodę na szczyt wzgórza. Planuje się jeszcze uporządkowanie placu przed pocztą, budowę ośrodka zdrowia, sadzenie drzewek. Gdy rozmawiam o tych sprawach z prezesem GS-u i równocześnie przewodniczącym Komitetu Obchodu 700-lecia Frysztaka Tadeuszem Skawińskim zapytuję go, czy zbliżający się jubileusz osady miał jakiś wpływ na to ożywienie aktywności i ambicji mieszkańców. — Zasadniczy — odpowiada. Gdyby nie jubileusz nie zrobilibyśmy porządku z tego, co się zrobiło. Takie uroczystości nie tylko rozbudzają dumę z tradycji rodzinnej miejscowości, lecz również mobilizują do konkretnej pracy nad jej najczystszy, najschłodniejszym wyglądem.

Może ktoś się zdziwi, że nie dotąd nie napisalem o życiu kulturalnym dzisiejszego Frysztaka. Ja sam się dziwię. Ale nie takiego tam nie znalazłem. Ścieżki do sławnego niedyś w całym kraju domu kultury w Twierdzy zarosły trawą. Nie się tam nie dzieje. Nie ma tam nikogo prócz stróża, który pilnuje, by nie rozkradziono dobytku i kina wyświetlającego filmy. Nie istnieją we Frysztaku żadne zespoły, kluby czy świetlice. Czyż nie szkoda tak zaprzepaszczając tradycję zespołu pieśni i tańca z Twierdzy, skoro i one już dziś są historyczne, a Frysztak historią się chlubi? Czy nikt nie znajdzie trochę pieniędzy dla kierownika lub instruktora w domu kultury? Jeśli nie chcą czy nie mogą tego uczynić kółka rolnicze, które obecnie władają obiektem, to może przyjdzie z odsieczą Wydział Kultury Prez. WRN... Warto ożywić ten „martwy” dom.

Nie byłbym w porządku, gdybym nie zanotował urażów i pretensji Frysztaka do Strzyżowa. Tu podkreśla się z dumą, iż Frysztak był po-

wiatem już w roku 1855, a Strzyżów dopiero w 100 lat później. Tu ma się żal do Strzyżowa, że zabrał osadzie szkołę rolniczą, która tu miała podobno być zlokalizowana. Obecnie zapadła decyzja, iż Dom Dziecka przeniesie się ze Strzyżowa do Frysztaka, a na jego miejscu w Strzyżowie otworzy się wspomnianą szkołę. Inna pretensja dotyczy szkoły podstawowej we Frysztaku. Obecna jest za ciasna, nie spełnia warunków. W roku przyszłym, gdy powstanie 8 klasa nauka będzie się musiała toczyć na 3 zmiany.

Zadawałem sobie ciągle we Frysztaku pytanie, czy to nie przesada z tymi jubileuszowymi obchodami osady. Czy to nie przejaw wyjątkowej partykularyzmu, ambicji ponad miarę, małościasteczkowej pychy i wyładowywania kompleksów? Czy można na równi traktować 1000-lecie Przemysła, czy jubileusz Kalisza z 700-leciem Frysztaka? Czy ostatnia z tych uroczystości nie jest trochę groteskowa? Gdy przyjrzałem się bliżej ludziom i sprawom Frysztaka wątpliwości znikły. Podziwiam w pełni zdanie wyżej cytowanego Tadeusza Skawińskiego przew. Kom. Obchodu 700-lecia. To jest najlepszy sposób uczczenia Tysiąclecia — niezależnie od tego, czy w małej i skromnej, czy w dużej i sławnej miejscowości. Zostaje później znajomość dziejów regionu, a przez to kraju, rozbudzenie badań amatorskich nad historią, mądry i celowy patriotyzm, a także wzrost aktywności i ofiarności społecznej, solidarności w trosce o piękno i przyszłość swego miasta i wreszcie sporo obiektów użytku publicznego, które stają się pomnikiem jubileuszowym. Wszystko to we Frysztaku zobaczyłem.

3) Lubomir Rubach: „Województwo rzeszowskie” str. 103.

## „Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku”

Ukazał się II tom „Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu” cennej pracy zbiorowej pt. „Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku” — przygotowanej przez Instytut Badań Literackich PAN. Całość tego wielotomowego wydawnictwa obejmuje piśmiennictwo polskie lat 1795—1939, czyli od klasycyzmu i sentymentalizmu, poprzez romantyzm, literaturę Wielkiej Emigracji, realizm, naturalizm, Młodą Polskę do 20-lecia międzywojennego.

Tom II poświęcony jest prozaikom okresu realizmu i naturalizmu. Znajdujemy w nim m. in. sylwetki Prusa, Orzeszkowej i Sienkiewicza. W ub. roku ukazał się poprzedzony wstępem prof. Juliana Krzyżanowskiego I tom, zawierający sylwetki poetów okresu realizmu i naturalizmu (1864—1900) oraz obszerną bibliografię życia literackiego i ogólnokulturalnego epoki.

Gerard Górnicki  
**UCIECZKA  
I  
POWROĆ**  
FRAGMENT POWIEŚCI

Nasza kraina zamykała się w małym, równoramiennym trójkącie, którego wierzchołki tworzyły duże wście w wąskich przesmykach, a ramiona — niewysokie wzgórza, pokryte lasami i polami. U podnóża dwóch pasm tych wzgórz, płynęły dwie rzeki, skrajem doliny, przez łożynowe gąszcza, ale przed jej opuszczeniem wody małej Stobnicy wpadały po kamieniach do wielkiego Wisłoka, który po lewej stronie miał na swoim brzegu — Niebieszczany, a po prawej stronie, naprzeciwko miasteczka, pastwiska i łąki, rozległe, pokryte soczystą trawą i kwiatami. Już od czasów mło-

dości mojej matki i mojego ojca, między tą większą rzeką, a skarpą, na której leżało miasteczko, biegł tor kolejowy, szerokim łukiem, przez czarny most. Rano, w południe i wieczorem — nasyt kolejkowy dudnił, szyny zgrzytały, albo dzwoniły, most dygotał — dzwicznie i wtedy nasza kraina, leżąca na uboczu głównych tras — nabierała żywego wyrazu, miała przez tych kilka chwil odmienny zapach, idący z dymem lokomotyw — nisko przy ziemi, albo znów wysoko ponad dachami parterowych domów z podcieniami, lecz nigdy nie sięgając brązowego szczytu kościoła, ani

srebrnego stożka dzwonnicy. A gdy przez jeden z tych przesmyków wpadał do naszej małej, pachnącej trawą i rzeką krainy — potężny wiatr, wydawało mi się, że ten niebywale piękny krajobraz zostanie poszarpany w strzępy, że rozsypany się drewniane domy i pioty i runą na brzeg rzeki, na publiczne śmietnisko, obok rzeźni, gdzie wyzierał spod ziemi kanał, pełny szczurów i szlamu.

Wpatrywałem się w zielony nasyt kolejowy, w rzekę, w góry, jak w dekorację baśniowej sztuki i kochałem tę krainę, lśniąca w słońcu i w świetle gwiazd, w strumieniach deszczów i w wichurze. Musiał kochać ją i mój ojciec. Gdy na obczyźnie oddawał się marzeniom, jeżeli potrafił to wszystko ogarnąć zwojną pamięcią, wówczas obrazy te zawsze prawdziwe, realne, zapewne układały się mu barwnie, w kolorach — na horyzoncie pamięci, często nadzbyt dynamicznej u ludzi żyjących poza krajem. Ja, nie mając ochoty do zmyśleń, ani do tworzenia obrazów wyrosłych z wyobraźni, zaledwie naszkicowałem krainę mojej młodości. Ojciec opuścił tę krainę i nas — w trzydziestym piątym roku swojego życia. Pamiętam niewądnie, że owego roku, kiedy ojciec wyjeżdżał do Stanów, w lipcu i w sierpniu — Niebieszczany były, rozpalone do białości, ciche i wydłubione, a w październiku i listopadzie — chłodne, gwarne i przebudnione — każdej niedzieli i każdego wtorku, podczas jarmarków. To był świat pozornie tylko drżący, świat, w którym sąsadowały ze sobą różne ambicje i marzenia, ścierały się konflikty, sprzeczne w

dażeniach i nienawiści, świat w dwóch rachubach czasu w dwóch różnych światłach: chrześcijan i żydów, stop różnych narodowości, od wieków osiadłych w Niebieszczanach — Ormian, Szwedów, Tatarów, Czechów. Istna Bośnia z ksiązką Ivo-Andrić, taką też nazwę miała dzielnica Niebieszczan, leżąca między kościołem a browarem, pełna rudery i zablokowanych dróżek. O wspólnym życiu moich rodziców niewiele wiedziałem, tyle co sam zdołałem zapamiętać, bo poganianie mnie wcześniej do spania w rozsuwanej ławie, stojącej w kuchni. Udawało mi się raz spojrzeć na matkę, wychodzącą w niedzielę, po obiedzie, w koszuli — z łoża wyłożonej podłoga z desek, a wieczory pozostawily mi w pamięci tylko urywk różnym, fragmenty obojętne, melodyjne piosenek, strzępy plotek, śmiechów i szeptów, które jakoś dziwnie nie wzbierały, nie prowadziły do gwałtownych kłótni, ale cichły, razem z moimi przemyśleniami, owładniętymi przez sen. I kiedy tylko zapadały te chwile w naszym domu, pokrytym papą i gontem, kiedy umilkł wiatr za małymi, wykryzionymi nad przyzbył — oknami, gdy mój ojciec nie miał nic więcej do roboty, tylko wysiadywał po całych dniach w domu, czymś prażony i odrętwiały — był mi tak bliski, jak matka. Nawet po odpowiednich porcjach bicia za moje wybryki i lenistwo, byłem dla nich dziwnie wyrozumiały, wszystkie moje krzywdy szybko zatracaly się w mojej pamięci, z dziecinnej beztroski rozdziła się radość, chociaż oni swoje życie widzieli inaczej, o czym nie potrafiłem i nie mo-

głem wówczas wiedzieć. Ojciec, jak pamiętam, był opanowany, pogodny, rozśpiewany, chociaż wolno mówiący i trochę niezadarny w ruchach, tak, że mnie patrzącemu podczas jasełek na scenę, wydawał się, jako król Herod, łagodny i nieśmiały, ustępliwy, uległy, nie w nim ze stanowczości władcy, ani z okrucieństwa mordercy — nie było. I miałem chyba rację. Natomiast było w nim tyle pogardy dla urojonego świata, którego obraz na scenie, w domu parafialnym, ktoś zmyślił, że przeraził tym moją matkę, kobietę odważną i energiczną, i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak moja matka płakała, w widowni, w kącie przy żelaznym, rozpalonym do czerwoności — piecu. Ojciec tego jej płaczu nie widział, bo byłby zaskoczony, chyba bardziej niż ja — tą niespodziewaną sceną, ale on siedział wyprostowany na tronie i gadał z królami i ze swoimi dworzakami. Raz spojrział na widownię, na nas i zaczął się śmiać, inaczej niż w domu, okrutnie, wrogo, tak właśnie jak chichotał czasem podczas rozmowy — ze swoim chlebobdawcą, Henrykiem Kulą, handlarzem świń i z jego współnikami. Ale nie wiedziałem, co się z tego śmiechu może zdarzyć. Obmyślałem jak zachować się wobec ojca, króla Heroda i zanim zdołałem wymyślić cokolwiek, choćby najgłupsze pytania, ojciec wyjechał za ocean. Zauważyłem, że wyjechał z żalem albo z ciekawością, bo nie spojrział nawet na Niebieszczany z progu naszego domu, stojącego na stromej skarpcie, wśród akacji. Wtedy, w dniu wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, mój ojciec odzyskał utracony od bezczynności melodyjny

Maria Cecylia Guziołek

# PROBA GENERALNA

Przebywający w czerwcu na kuraacji bądź urlopie w Ciechocinku mają dodatkową atrakcję: Festiwal Orkiestr Symfonicznych. Ta pożyteczna impreza (choć mała popularna w kraju (właściwie dlaczego o niej tak cicho?) ma nazwę: „Muzyka dla wszystkich”. Głównym celem festiwalu jest konfrontacja poziomą wykonawczego orkiestr symfonicznych, wymiana doświadczeń i stałe rozszerzanie repertuaru o utwory dostępne dla zespołów muzycznych tego typu i przeciętnego melomana oraz o takie, które będą przyciągały do sal koncertowych coraz to szersze kręgi słuchaczy.

Festiwal ciechociński co rok na przemian grupuje zespoły symfoniczne to z Polski północnej, to z Polski południowej. Bieżący czerwiec jest Festiwalem Orkiestr Symfonicznych Polski Południowej.

Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie bardzo pieczołowicie przygotowała się do udziału w festiwalu. W poprzednich 2 spotkaniach uzyskała wysoką ocenę (oficjalna klasyfikacja nie istnieje i zespoły nie walczą tu ani o nagrody, ani o punktowane miejsca), więc dziś już sprawą honoru zespołu jest obronienie swego dobrego imienia.

Program występów ciechocińskich przedstawiała POS w czasie koncertu, zamykającego sezon artystyczny 1965/66. Był to cały wieczór muzyczny, bo trwał nieomal 3 godz. Orkiestra na pożegnanie przed dwumiesięczną przerwą koncertową chciała jakoby dać zapas wrzasku artystycznych rzeszowskim melomanom. Ten „wielki koncert” zawierał programy 2 występów w Ciechocinku. Tradycją bowiem jest, że każda orkiestra koncertująca pod batutami wszystkich swych etatowych dyrygentów. Rzeszowski zespół zaprezentuje się pod dyrekcją Janusza Ambrosa i Tadeusza Chachaj. Koncert ten był więc próbą generalną przed ważnym egzaminem. Na program złożyły się utwory nieomal wyłącznie kompozytorów polskich, od Karłowicza — do Szabelskiego, twórców działających już w naszym stuleciu. Trochę muzyki neoromantycznej, trochę współczesnej, rzecz jasna stop czyniono przed muzyką tak zwaną nową, utworami awangardowymi. W tym wypadku przecież obowiązuje hasło: Muzyka dla wszystkich! — w domyśle — dostępna dla wszystkich. Nie trzeba przecież udowadniać, że muzyka nowa wymaga od słuchaczy przygotowania przez chociażby poważne osłuchanie, a od zespołów niejednokrotnie inny niż tradycyjny zestaw instrumentów i wirtuozowski skład wykonawców.

Do ciechocińskiego występu rzeszowska POS przygotowywała się od dłuższego czasu wprowadzając do kolejnych koncertów piątkowych poszczególne utwory festiwa-

lowego repertuaru. W ten sposób powstał ambitny program dwóch koncertów muzyki polskiej, z którą artyści zdolali się „żyć”, wypracować ciekawą interpretację poszczególnych dzieł tak zmiennych w nastroju, opanować „niebezpieczne rafy” wykonawcze.

Koncert, który poprowadzi Tadeusz Chachaj obejmuje poemat symfoniczny Mieczysława Karłowicza pt. „Epizod na maskaradzie”, Concerto giocoso Michała Spisaka oraz marsz Pretorianów z oratorium „Quo Vadis” Feliksa Nowowiejskiego. Część symfoniczną urozmaici śpiew Teresy May-Czyżowskiej — sopran i Kazimierza Pustelaka — tenor, którzy wykonają arie operowe. W czasie próby generalnej w Rzeszowie usłyszeliśmy tylko Teresę May-Czyżowską. Wykonała ona z towarzyszeniem orkiestry arie Hanny ze „Straszne Dworu” Stanisława Moniuszki i arie z klejnotami z trzeciego aktu „Fausta” Charles Gounoda. Te ostatnią solistka była zmuszona bisować.

Teresa May-Czyżowska należy do młodego pokolenia śpiewaczek operowych. Jest solistką Opery Objazdowej, stale współpracuje z Operą Łódźką, a w nowym sezonie artystycznym będzie gościnnie występować w Teatrze Wielkim. Artystka dysponuje rzadko pięknym dramatycznym sopranem koloraturowym, posiada piękną dykcję i z ogromną swobodą włada znakomicie wyszkolonym głosem, co ułatwia jej skoncentrowanie uwagi na sugestywnym oddaniu kreowanej postaci. Przedstawia typ nowoczesnej śpiewaczki operowej, która aktorstwo stawia na równi z umiejętnościami wielkiego śpiewu. Te zalety w pełni ujawniła śpiewając z ogromnym wdziękiem sławną arie Małgorzaty, którą publiczność nagrodziła rzęśliwymi oklaskami, nie mającymi nic wspólnego z grzecznością wobec solisty.

Występ solistów tak pani Teresy, jak dobrego znanego artysty Teatru Wielkiego, rzeszowianina Kazimierza Pustelaka dodadzą splendoru koncertom naszej POS w Ciechocinku.

Drugi koncert festiwalowy poprowadzi Janusz Ambros. Program tego występu odbiega nastrojem od poprzedniego. Po utworach Karłowicza i Nowowiejskiego, w których instrumenty dęte blaszane i drewniane oraz perkusyjne dominują, narzucają koloryt, wysmakowane Concerto grosso Bolesława Szabelskiego z niezapomnianym Lento, uvertura do opery „Maria” Romana Statkowskiego i Koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina. Chopina gra młody pianista, uczestnik ostatniego Konkursu Chopinowskiego Cezary Owerkowicz.

Z koncertów fortepianowych Chopina, Koncert f-moll jest mniej popularny i rzadziej grywany, chociaż oba należą do światowej literatury muzycznej. Z tym większym

jeszcze zainteresowaniem słucha się tego dzieła, krótszego w czasie trwania od Koncertu e-moll, ale jakże bardziej lirycznego, o bogatej ekspresji i pastelowego nastroju.

Cezary Owerkowicz skończył w lutym br. 23 lata. Na estradzie jest jednak już wytrawnym artystą o ciekawej indywidualności wirtuozowskiej. Odznaczenia, jakie uzyskał kończąc Szkołę Muzyczną im. K. Kurpińskiego, a następnie PWSM w Warszawie potwierdzają się w pełni i dziś. Swoboda estradowa natomiast utrwalała się u młodego pianisty przez lata, gdyż zaczął publicznie koncertować jako „cudowne dziecko”, już w 7 roku życia.

Owerkowicz jest ogromnie muzyczny i świetnym technikiem (chętnie usłyszaloby się jego interpretacji Koncert fortepianowy na lewą rękę Maurycego Ravela!), nie zapomina o roli solisty w koncercie. Znakomicie współdziała z zespołem nie zatracając własnego, jak najbardziej indywidualnego spojrzenia na wykonywany utwór. Jego Chopin jest miękki, liryczny, w partiach tanecznych bardzo zwiewny i wesoły, zmienny w nastroju, lecz nigdy rozhiszteryzowany. Nic dziwnego, że muzyczny Rzeszów przyjął utwory Chopina w interpretacji Owerkowicza nader życzliwie i z pełnym aplauzem.

Koncerty rzeszowskich muzyków w Ciechocinku zapowiadają się ciekawie. Interesujący program i wykonanie, które nie zawsze jeszcze w czasie omawianego koncertu, potraktowanego zresztą przez sam zespół i dyrygentów jako próba generalna — było idealne, ale znacznie lepsze niż na co dzień — każdy wierzyć, że Państwowa Orkiestra Symfoniczna wróci raczej „z tarca”. Trzymajmy kciuki! Podobno pomóc to wiele nie pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi. Ciechociński festiwal jest ważnym egzaminem artystycznym!



## Kłeska urodzaju

Wawel — Planty — Barbakan — Sukiennice — Pomnik Wieszca. Gołąbki lekce sobie wąż poezję!

Muzeum Narodowe — Muzeum Czartoryskich — Muzeum Archeologiczne — Muzeum Historyczne — Muzeum Etnograficzne — przystanek, głęboki oddech, kiosk z wodą sodową. Tempo proszę wycieczki, historia czeka. Tempo, stągwie obiad w barze mlecznym. Tempo, za dwie godziny wyjazd. Tempo, przed nami parę wieków i kilkaset kilometrów jazdy.

Juwenalia i Dni Młodości w Nowej Hucie — szaleństwa studentów, szaleństwa młodzieży ze szkół średnich, szaleństwa uczniów podstawówek, ubawy przedszkolaków.

Wycieczki Związku Emerytów, Sowarzystwa Hodowców Kanarków, Kynologów Amatorów i Zawodowców, Miłośników Starych Murów, Młodzieży Zrzeszonej i nie, uczniów, studentów, starców, niemowląt, wojskowych i cywil, behawiorystów i kolejarzy, cudzoziemców i swoich — od maja do września urodzaju na wycieczki, od maja do czerwca kłeska urodzaju imprez najrozmaitszego rodzaju, pokroju, autoramentu i jakości.

Hotele pękają od gości, kelnerzy w restauracjach beztępienie odnajdują dewizowych konsumentów, fotografowie polują na grupowe zdjęcie. Kłeska urodzaju imprez, od 11 do 16 czerwca Festiwal Mody Polskiej, od 15 do 19 czerwca Dni Krakowa.

Na Festiwalu Mody I Ogólnopolski Konkurs Fryzjerski i I Ogólnopolski Konkurs Kosmetyki Upiększającej, organizowane przez spółdzielczość pracy. Zespołowo zwyciężają ekipy krakowskie zdobywając medale, puchary, przechodnie, dyplomy i wyróżnienia. Fryzjerki i kosmetyczki startowały w kilku konkursach: fryzura dzienna i nocna (przepraszam — wieczorowa), makijaż dzienny, wieczorowy i sportowy.

Krakowskie fryzjerki i kosmetyczki, jako się rzekło, wypadły znakomicie, gorzej wypadli mężczyźni. Tutaj Warszawa wiodła prym. Nie dziwię się, moje osobiste kontakty z krakowskimi i nowohuckimi fryzjerkami nie zawsze należały do przyjemności. Kiedyś jeden z mistrzów brzytwy usiłował uciąć mi ucho, bo był na małej bani, inny z kolei wystrzygł mi na karku małą rozetkę i stwierdził rozbrajająco, że „to szybko odróśnie i nie będzie ani śladu”. Na takie dictum nie miałem argumentów.

W programie festiwalu są nie tylko konkursy, przy okazji również zgaduj-zgadula na tematy mody, fryzjerskie i kosmetyki prowadzona przez nierównanych w tej dziedzinie Rokitę i Przybylskiego, przy okazji występy Bielickiej, Rawik, Bychowskiego itd. I pokaz mody, i wielka rewia mody, i cały szereg wystaw.

Jeszcze przed festiwalem oglądałem jakiś taki pokaz w Rynku Głównym w Krakowie. Bawiłem się znakomicie. Wyszedł facet w przykrótkich portkach i kusej marynarczynie, a biedny konferansjer wyłaził ze skóry, żeby przekonać publiczność, że tenże facet jest szczyttem elegancji i w ogóle należy go naśladować. Model pokazał się jeszcze parę razy, dla oszczędności nosił



Kierownik artystyczny i I dyrygent POS w Rzeszowie Janusz Ambros w czasie VI Dni Muzyki Kameralnej. Fot. M. KOPEC



Rys. J. SIENKIEWICZ

głos, dumną wyniosłość i dlatego potrafił ocalić moją matkę od okrucieństwa rozstania. Przez moment, mnie przyczajonemu za zielonym płaszczem mojej matki, wydawało się, że ona powstrzyma go, otworzy mu choćby jednym wyrzutem — zaślepienie, rozbiegane oczy — na to co robił, ale dopiero po chwili, po odjeździe pociągu, jakby obudzona z letargu, otworzyła szeroko oczy, powtarzała jakies słowa, opuściła ręce wzniesione na pożegnanie i zaczęła dygotać, łapiąc gwałtownie oddech. Wróciliśmy szybkim krokiem do domu, ścieżką wzdłuż toru kolejowego.

Cieszyłem się nawet z tego, że nic złego się nie stało, że nie musiałem płakać na oczach ludzi, ani nie biegłem z pociągiem, rozklekotanym, cuchnącym potem, a żegnałem ojca godnie, jak to się mu należało. Pozostało tylko we mnie przeczuć, że wszystko to, ten jego wyjazd, stało się szybko, jakby bez zastanowienia, że musiał to być kres rozpaczy. I dlatego dopiero od tego dnia zaczęłem częściej myśleć o mojej matce i o moim ojcu, a były to złe myśli, drapiące serce, jak sucha, ostro gałąź — gołe ciało. Pojechał do obcych, chociaż był jednym z licznych. Trudno było mi powiedzieć, czy nawet w chwili odjazdu ojca, był on przekonany o siusznosci, a moja matka o konieczności tej ostatniej próby ratowania nas przed nędzą. Sądził oboje, że rozstanie to — tylko na rok, dwa, ale nie więcej; zda się, że ojciec to powiedział uroczyście, aby pocieszyć moją matkę. Zanim zdołała mu odpowiedzieć, pociąg odjechał, nie czekając nawet na moje nienawistne spojrzenie, rzuco-

ne w stronę lokomotywy. Pamiętam do dziś, że zaskoczona nagłym wyjazdem ojca, moja matka popatrzyła na mnie twardo, jak na obcego i dopiero potem, w domu, podczas kola-cji, kiedy przy stole jedno miejsce było puste, rozplakała się, ale po dobrej chwili uśmiechnęła się do mnie przez łzy, tak długo, jak nigdy dotąd, bo zostaliśmy oboje sami i zapewne zgadła, że ja czekałem na ten jej płacz i na jej uśmiech. Byłem głodny i bardzo śpiący. Przerazoni wyjazdem ojca, leżałem beznamiętnie, w łóżku, nie w ławie już, lecz zaraz po zapadnięciu za oknem ciemności — zasnąłem, ale na krótko. Matka przez cały wieczór siedziała przy stole nieruchomo, patrzyła w pobieloną ścianę, przysłuchując się uważnie własnemu szepceni. Wzruszyła ramionami. Wzięła w palce kostkę cukru, maczała ją w czarnej kawie i ssała. Pozorny spokój i bezwzględna cisza nie przydały się na nic, czułem bezbronność, zaliła we mnie wiara w zło, chociaż modliłem się pod pierzyną i pytałem szeptem samego siebie: „dlaczego ojciec nie wraca?”, prosiłem ojca, żeby się zmiłował nad nami i wrócił, nim zapadnie noc, bo bałem się wysunąć głowę spod pierzyny, aby nie widzieć błysku oczu mojej matki. Jednak wszystko pamiętałem dokładnie. Ach! ten listopadowy wieczór, byliśmy wtedy zmartwiali z grozy i samotności! „Dlaczego ojciec nie wraca? Zaraz będzie noc. Dlaczego nie wraca?”, pytałem, nie wiedząc kogo, ale przysiągłem sobie zemścić się na drągału — maszynieście, którego widziałem w lokomotywie, odjeżdżającego z moim ojcem pociągu. Czekaliśmy dłużej niż trzydzieści lat na odpo-

wiedź na tamto moje pytanie, ale nie sprawiło nam ono już radości, nawet potwierdziło mój strach, bo jeżeli ojciec zdecydował się powrócić, to nie dlatego, żeby wysłuchał moją prośbę, albo dlatego, żeby się nam pokazał, że żyje i nacieszyć nas swoim widokiem. Tak przynajmniej myślałem, kiedy przypomniałem sobie scenę jego powrotu, czyli to drugie wydarzenie z jego życia, jakie dane mi było oglądać własnymi oczyma. Stałem wtedy na skraju lotniska na Okęciu, cały skupiony, starałem się o niczym nie myśleć. Po wyjściu z odrzutowca, szedł powoli, ostrożnie, z głową rozglądając się, przystawał i odpoczywał. Bardzo mały, w beżowym, letnim płaszczu. Panowałem nad sobą, nie czułem bicia serca i tak było najlepiej, bezboleśnie. Twarz miał ogorzałą, bardzo stary człowiek. Na całej jego twarzy głębokie bruzdy, duże uszy miał za bardzo odstające, nadsłuchujące, oczy zakryte faldami powiek do połowy, poszukujące czegoś. Szerokie ramiona, krótka szyja, nogi o dużych stopach, wszystko przejmujące kruche. Wreszcie spotkał się z moim wzrokiem, usłyszał moje wołanie, popatrzył tak, jakby się przed chwilą obudził. Wiatr ustał zupełnie, było ciepło, pochmurno. Zdawało mi się, że uśmiech pojawił się na jego twarzy na jedną sekundę i zgasł, po moim okrzyku. Byliśmy odgroźdzeni od siebie drucianym płotem. Gdy znikł w drzwiach urzędu celnego, w moich oczach została ta jego twarz, nieruchoma, jakby nie było w niej życia. Poczulem smutek, ogarnęła mnie dziwna obojętność, przed oczyma miałem pustkę. A w domku czekała na mojego ojca, moja matka.

# List z Krakowa

(Ciąg dalszy ze str. 3)

każdy i ten sam krawat do różnych garniturów co dawno zaskakujące efekty. Specjalnie przypadła mi do gustu jeszcze parasol z przepiękną metką rozmiarów chustki do nosa dyndającą przy rączce. Metki modne proszę państwa, sprawcie sobie takie przy najbliższej wypłacie!

Były także modelki, piękne, pełnotłuste, hoże dziewczyny — młódź obiegła podium, pięć męska runęła do przodu, żony przystąpiły mężom oczyma... piękny pokaz nie ma co ga-

gotowej konfekcji nimi nie odstraszać, która częściej jest lepsza na powszechnym kliencie niż na modelu.

Festiwal Mody Polskiej mamy już z głowy, teraz Dni Krakowa, które pięć dni trwały w tym roku, do niedzieli 19 czerwca włącznie.

Inauguracja odbyła się 15 czerwca w Rynek Główny, przy współudziale władz miejskich i wojewódzkich, z ojcem miasta mgr Skolickim na czele. Wspaniały występ dał reprezentacyjny zespół CPLIA „Podhale”.



Stary gród królewski Kraków jest jednym z głównych punktów docelowych wycieczek krajowych i zagranicznych. Na zdjęciu: Jędrka z wycieczką na Rynek Mariackim. B. LANGDA

dać. Szkoda, że którychś z zakładów gastronomicznych nie umieścić w pobliżu planzisty z napisem: „Te panie stołują się u nas” — zwałiby się tłumnie do tej restauracji wszyscy chudzielce z całego Krakowa, mnie nie wyłączać.

Na festiwalu było jednak inaczej, bardziej dietetycznie i estetycznie, metki też nie dostrzegłem, co już jest swego rodzaju sukcesem. I ja tak w ogóle nie mam nic przeciwko pokazom mody, byle tylko ludzie od

I tak kolejno w następnych dniach: w Miejskim Pawilonie Wystawowym i Pałacu Sztuki TPSP otwarcie I Międzynarodowego Biennale Grafiki, dalej turniej żywych szachów w Collegium Nowodworskiego, wreszcie widowisko regionalne „Wesele krakowskie” na placu Mariackim, o godzinie 19 pochód „lajkonika”, a wieczorem na dziedzińcu Pałacu pod Baranami „Wieczór serenad”. Tyle we czwartek, na piątek zostają występy szkolnych

zespołów artystycznych, otwarcie wystawy rzeźby plenerowej ZPAP na Plantach między Wawelem a Filharmonią, spotkania z pisarzami i działaczami politycznymi, wreszcie galowy koncert „Krakowiaków” w sali „Korony”.

W sobotę defilada „Białej floty” na Wiśle, wieczór ciekawostek w KDK, na Wawelu „Harnasie” Szymanowskiego i późnym wieczorem pokaz ogni sztucznych.

W niedzielę harcerski bieg Plantami, Biesiada Literacka w Sukienicach, „Teatr na wozie” i wieczorem na Rynek Główny amatorskie zespoły artystyczne.

Muszę jeszcze wspomnieć o starych imprezach, trwających przez cały okres Dni, więc jeszcze raz „Teatr na wozie”, „Krotoczwile w Barbakanie” i kiermasz wyrobów CPLIA na placu Mariackim. Wymieniłem tu sporą liczbę imprez, ale na tym nie kończy się oferta lista, bo w przeciwnym wypadku musiałbym przepisać cały program o rozmiarach kilku stron maszynopisu. Wątpliwa satysfakcja dla czytelnika, który i tak będzie czytał ten list po Dniach Krakowa, nie mając już, niestety, możliwości obejrzenia żadnego z występów, z wyjątkiem wystaw, które mam nadzieję będą trwały jeszcze kilka dni.

Wpadłszy na festiwalową nutę o mały włos byłbym przegapił jeszcze jeden festiwal, a właściwie dwa festiwale, które dobiegły już końca, ale przez kilkanaście dni przyciągały uwagę kinomanów krakowskich, krajowych i zagranicznych. Mam na myśli Opólnopolski i Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych odbywający się w sali Filharmonii. Zjechali na festiwale goście z całego świata, nie brakło chyba przedstawicieli żadnej nacji. Na krajowym festiwalu I miejsce zdobył film reżysera Slesickiego „Rodzina człowieka”, opowieść o dniu powszednim chłopskiej rodziny na Mazurach, na międzynarodowym — Grand Prix otrzymał film radziecki „Ostatnie listy” reżyserii H. Stojczewa i S. Kulisa. Miejsmy nadzieję, że dane nam będzie obejrzyć przynajmniej nagrodzone filmy w normalnych kinach, a niektóre z nich są warte obejrzenia.

Kończąc list, za chwilę wyjdę na Rynek w poszukiwaniu wolnego miejsca w jakiejś restauracji. Nadchodzi pora obiadu i muszę się psychicznie przygotować na półgodzinną — co najmniej oczekiwanie. Gdybym był wycieczką, ba, gdybym był wycieczką! Dwoje się i troje, to jeszcze się człowiek czasami potrafi, ale przeistoczyć w całą głodną wycieczkę trochę jednak trudno!

## Z notatnika historyka

# Kłopoty nie tylko praociwów Dawniej jak dziś — pożary plagą

Historicy odnotowali niejednokrotnie fakt, kiedy pożary doprowadzały do ruiny kwitnące i znaczne miasta. Dość wspomnieć, że mieszkańcy Rzeszowa po jego zgorzeniu około 1427 roku postanowili opuścić całościę miasta. Tylko dzięki usilnym zabiegom, a pewnie i pomocy właściciela Rzeszowa, pozostali na miejscu i odbudowali miasto. Należy pamiętać, że Rzeszów czy Łańcut były dawniej niemal w całości drewniane i gęsto zabudowane.

Nieznanych bliżej rozmiarów pożar — wydaje się, że na szczęście niezbyt rozległy — nawiedził Łańcut w lutym 1589 roku. Zachowały się do dzisiaj dowody, że kasa miejska wypłacała różne kwoty tym, którzy dowozili wodę i brali udział w gaszeniu. Zbliż tak dowody mogą się nam wydać dziwne, ale pamiętajmy, że jest to XVI wiek, miasto drewniane, ludzi w nim nie było wiele, a obfita woda daleko poza miastem. Być może, że w Wiśluku. Wprawdzie w tym czasie Wiśluk płynął niemal tuż pod wzgórzem, na którym miasto stoi, ale mimo to, do wody był kawał drogi. Dodać tu można, że dzisiejsze kryto Wiśluka jest co najmniej trzecim od XVI w.; każde nowe coraz bardziej oddala się ku północy.

Żeby zrozumieć zjawisko płacenia za dowóz wody do pożaru, posłużmy się rzeszowską analogią. Otóż w Rzeszowie, jeszcze na początku XVIII w. kto pierwszy dowiódł do pożaru kufę pełną wody, miał otrzymać z kasy miejskiej 4 złote, a więc sumę poważną, za drugą 3, za trzecią 2, a już za dalsze tylko po złotemu.

„kadłub”, tj. potężną rurę, uzyskaną przez wydrążenie uprzednio wypróchniałego pnia bardzo grubego drzewa. Takie obudowania studni można jeszcze dziś spotkać, na niskich terenach, ewentualnie gdzie wytryska samoczynne źródło. Łańcutka cembrowina mogła mieć wysokość ok. 3 m, wystawała więc ponad powierzchnię rynku przynajmniej pół metra.

Co w tym znalezisku jest najciekawszego; otóż na dnie studni znaleziono mnóstwo skorup z raczyń typowo średniowiecznych, a także kilka kafli, i to całych, tzw. „garnkowych”, z przełomu XIV na XV wiek.

Jeśli do studni — dla zasypiania jej — wrzucano wszelakie śmieci, w tym i skorupy z typowo średniowiecznych wyrobów, znaczy, że studnia była pomyślana jako pro-wizoryczna i wykopana, jeśli nie w pierwszych miesiącach budowy miasta, to w pierwszych latach. Kiedy spełniła swoje zadanie, kiedy zbudowano wreszcie właściwe, głębokie studnie — tamta zasypano. Cembrowiny nie oplacało się wydobyciem. Średniowieczne kafle zaś świadczą, że Łańcut od początku stał na uwaleniu wysokim poziomie kultury materialnej. Takie społeczeństwo nie mogło zadowalać się tylko wodą zaskórnia.

W Polsce powstało przysłowie „Mądry Polak po szkodzi”, rzeczywiście, spotyka się u nas dużo lekkomyślności i lekceważenia niebezpieczeństw. Czujając uniwersał M. S. Ligęzy do mieszczan rzeszowskich, widąc że ci niemal przewlekli pożary, zupełnie nie przesteregając bardzo rozsądnych przepisów przeciwpożarowych. Uderzały owe uniwersały w umysły ówczesnych rzeszowian jak groch o ścianę. A w Łańcutu?

Jest znana rzeczą, że kiedy ludzie dotknięci nieszczęściem tracą głowę, korzystają z tego męty społeczne. W czasie pożarów złodziejzaskowie korzystali z zamętu i krałli, często bowiem różnorakie dobro walało się po prostu na ziemi. Kiedy więc Jakubek, zięć niejakej pani Balcerowej gorzał, a z domostwa wyמושono ruchomości i porzucono na ogródzie, niezręcznie złodziejzaskowie pochwycony na gorącym uczynku i zamknięty. Obowiązywał wówczas w Łańcutu przepis, że więźnia żywność nie miasto, ale ten, na czyje życzenie został zatrzymany. Po rozprawach, kiedy więźniowi winę udowodniono i został skazany, powodowi zwracano koszty wyżywienia; jeśli nie udowodnił winy — niejako za karę wydatki szły na jego rachunek.

Niemal w półtora wieku później, tj. od wspomnianego pożaru, Stanisław Lubomirski w uniwersale skierowanym do Łańcuta w dniu 13 XII 1750 r., powołując się na poprzedni, z 11 IX 1746 r., błada, że dyspozycje (przeciwpożarowe) „nie są obserwowane” i przez to — zdaje się w r. 1746 — cud, że „miasto całe i przedmieście nie poszło w perzynę”.

Dotychczas obracaliśmy się w przelomie wieków XVI i XVII. Ale Łańcut został zbudowany o wiele wcześniej, bo w II połowie wieku XIV. Jeśli przyjmiemy, że miasto lokacyjne zostało zbudowane poniżej dawnego placu targowego (małego rynku) to chyba — analogicznie do czasów dzisiejszych — najpierw zbudowano studnię, ażeby sobie ułatwić życie.

W roku 1587 mgr Kazimierz Moskwa, archeolog z Muzeum w Rzeszowie przeprowadzał badania na Małym Ryнку. Właśnie w tym miejscu natrafiono na studnię, która jest niesłychanie cennym dokumentem dla dziejów Łańcuta. Studnia była obliczona na wodę podskórną, ukopana bowiem była tylko na kilkadziesiąt centymetrów. Jako cembrowinę zastosowano tzw.

## Korespondencja własna ze Szwecji

# WŚRÓD POLONII GÖTEBORG

Półmilionowy Göteborg jest drugim co do wielkości, po Sztokholmie miastem Szwecji, usytuowanym w południowo-zachodniej części nad cieśniną Kattegat. Z okalających łagodnych wzgórz widać rozległy port odpowiadający tonażem przeładunku naszemu Szczecinowi.

Szwedzka Polonia nie należy do dużych, w samym Göteborgu natomiast mieszka ponad 500 rodaków. Trafili oni tutaj różnymi drogami. Stosunkowo najwięcej przybyło ich do Skandynawii w okresie drugiej wojny światowej. Sporo Polek bądź Polaków, w wyniku normalnych powiązań rodzinnych i związków uczuciowych osiadło u naszego północnego sąsiada. Polka wyszła za mąż za Szweda, polski marynarz poślubił szwedzką dziewczynę. Jeszcze inne okoliczności, i ludzie postanowili osiedlić się po drugiej stronie Bałtyku. Było oczywiście albo zdarza się również odwrotnie.

Konstanty, mieszkający na Fjällgatan, ile obalili uprzedzeń, a jednocześnie zyskały sympatii dla Polski wazh film i sport.

— Nie ma prawie Polaka w Szwecji, który by nie oglądał „Matki Joanny od Aniołów” Jerzego Kawalerowicza, „Popiołu i diamentu”. Byliśmy dumni i szczytnym się wyniki kami polskich sportowców na olimpiadach w Rzymie i w Tokio. Dzięki temu łatwiej nam zbierać składki na polski fundusz olimpijski.

Pan Konstanty, wysoki sympatyczny szatyn w okularach nie ukrywa, że do niedawna niektóre gazety szwedzkie zamieszczały sporo złośliwych, nieprawdziwych materiałów o Polsce, którym ulegały i niektóre koła polonijne. Od pewnego czasu jednak obserwujemy stopniową zmianę, a ostatnia wizyta w Szwecji ministra Rapackiego na pewno przyczyniła się do „ocieplenia” stosunków.

Wracam jednak do postaci Tadeusza Konstantego.

— Moja matka była Polką, ojciec natomiast Szwedem opowiada Tadeusz Konstanty. — Nie byłem dotychczas w Polsce, ale wiem i czuję, że mam dwie ojczyzny: Szwecję i Polskę. Nawiasem mówiąc, niedługo wybieram się promem do Szwajcarii a potem w głąb kraju.

W Göteborgu nie ma polskiej szkoły, a mimo to dzieci Polaków dobrze mówią po polsku. Dobrze to świadectwo o tutejszej Polonii.

Pokażna grupa Polaków pracuje m. in. w göteborgskiej fabryce żożysk kulkowych. Razem czują się lepiej, łączą ich wspólne wiezy. Jest to zrozumiałe tym bardziej że w państwie gdzie dominuje bezwzględna pogoń za pieniądzem, obce są na ogół kontakty towarzyskie, sąsiedzkie wizyty.

— Własny dom czy nowoczesny samochód, to jeszcze nie wszystko — stwierdza zgodnie.

Czy jednak Polonia szwedzka, a w mojej publikacji göteborgska jest jednolita? — bynajmniej. Przemiany zaszły na świecie, różne kierunki i orientacje polityczne nie pozostały bez przemożnego wpływu także na „naszych” ze Skandynawii. Dowodzi tego aż 6 odmiennych stowarzyszeń skupiających załedwie kilkuset Polaków, żyjących na tym skrawku ziemi, ale uczuciowo — patriotyczny stosunek do naszego kraju nie podlega dyskusji.

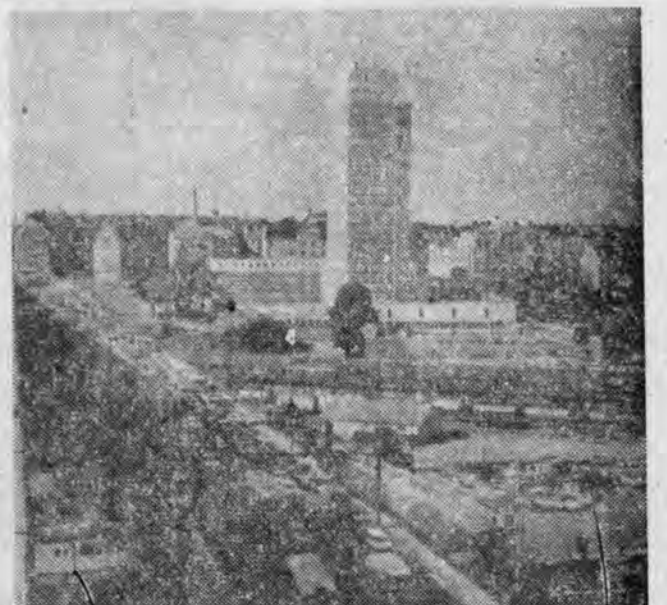
Pożar był w lutym; w dniu 10 marca kasa miejska oddała „paniej Balcerowej” pokażną sumkę, bo aż 2 floreny i 28 groszy, co nakładała na złodziejzaskę. Siedział więc złodziejzask do wyroku, co najmniej miesiąc. Nie był to miejscowy złodziejzask, ale obcy, który być może z okolicy biegiem przybiegł do Łańcuta na widok łuny lub słupa dymu, bo nazwano go — wcale nie po nazwisku ani nawet imieniu — ale „złodziejem z powietrza”; czyli kimś w rodzaju błękitnego ptaszka.

Po pożarach miastom udzielano zazwyczaj pomocy i to w dwojak sposób; dawano zapomogi na odbudowę albo zwalniano od wszystkich czy tylko niektórych ciężarów, na dłuższy lub krótszy okres.

W marcu 1589 r. miasto wypłaciło staroście — najprawdopodobniej pełnomocnikowi właściciela Łańcuta — „szosu” 20 florenów i 29 groszy, jeszcze za rok ubiegły. Była to pokażna kwota, ale niepełna jaką miasto zazwyczaj płaciło. Zapisek wyjaśnia, że pogorzelnicy zostali zwolnieni od tego podatku; to była zapomoga — nie wiadomo czy tylko jedyna — na odbudowę. Z tego też wynika, że zgorzała nieznaczna część miasta.

FRANCISZEK KOTULA

# SZ Z T O K H O L M



Alle podobnie jak wśród Polonii w różnych państwach, tak samo i przedstawiciele göteborgskiej grupy rodaków, z którymi obcowaliśmy w ciągu kilkudniowego pobytu w Skaanii, żywo interesowali się wszystkim, co dotyczy naszego kraju. Szwecja, która przez 176 lat nie prowadziła wojen, obdarzona bogactwami naturalnymi, chlubi się niewątpliwie jednym z najwyższych w świecie poziomów życia. Składa się na to w znacznym stopniu silnie rozwinięty przemysł, wysoka kultura rolna i nade-wszystko pracowitość, sumienność i niezwykła oszczędność mieszkańców.

Lecz mimo wysokiego standardu bytowego w Szwecji, myśl i tęsknota żyjących tu Polaków za ojczyzną są bezsporne.

— Nie wyobrażacie sobie — informuje nas przewodniczący Związku Polaków w Göteborgu, Tadeusz

Coraz więcej się teraz pisze i mówi u nas — wtrącają inni — o wybitnych Polakach, o granicy na Odrze i Nysie, o powojennych przemianach nad Wisłą.

— Rozszerzają się kontakty w różnych dziedzinach — a przede wszystkim handlowe.

Przekonujemy się o tym w trakcie spotkania z przedstawicielami rady miejskiej w Göteborgu w kunsztownym Pałacu Werhera, gdzie błyskawicę nasze kryształki. W czasie zwiedzania dużego browaru, produkującego piwo z lubelskiego chmielu, a także w słynnych zakładach samochodowych „Volvo”, w których byliśmy częstowani — po raz pierwszy w tym roku — polskimi truskawkami. To robi wrażenie.

No, a... polska wódka. Mimo olbrzymich ograniczeń konsumpcji trunków alkoholowych w Szwecji, w prowadzonych tylko dwóch skle-

WŁODZIMIERZ WAL

# W Muzeum Pomorza Zachodniego

Dwupozłomowa ekspozycja statku „Poznań”, który pływał pod polską banderą jeszcze 5 lat temu wzbudza zainteresowanie wśród zwiedzających szczecińskie muzeum. Chwilami odnosimy wrażenie, że zwiedzamy nie mu-

zeum lecz statek. Ster, mechanizmy, maszyna (wprawdzie „tylko” wierna kopia w skali 1:2) stwarzają posmak autentyczności. Archiwalne zdjęcia umieszczone na planszach, ułatwiają poznanie historii wspomnianej jednostki.

Dział archeologiczny muzeum przygotował z okazji „Dni Morza” wystawę, która obrazuje początki gospodarki Polski nad Bałtykiem, związek kraju z morzem. Autorzy ekspozycji dotarli jak tyłko najdalej mogli w głąb historii aż do początków wieku IX.

Wiele eksponatów ma wyjątkowo dużą wartość; do najcenniejszych zaliczyć można łożo słowiańską (X—XII wiek), wyroby świadczące o tym, że np. w Wolinie rozwijało się rzemiosło szkutnicze (półfabrykat stawy).



Muzeum w Szczecinie słynie na cały kraj, a nawet i za granicą z doskonalej, stałej i ciągle wzbogacanej ekspozycji poświęconej Afryce.

Jak do tego doszło? To znów zasługa związków Polski z morzem, które w latach sześćdziesiątych XX wieku wyrażają się bliskimi kontaktami muzeum z Polską Żeglugą Morską.

Otwierano właśnie regularną linię żegludową („Uniafrica”). Dyrekcja Polskiej Żeglugi Morskiej wyraziła zgodę na zabranie na pokład muzealników ze Szczecina. Pierwszy rekonesans zachęcił do następnych wypraw. Zbiory muzeum wzbogacały się „z rejsu na rejs”. Wiele cennych eksponatów przywieźli i nadal przywożą marynarze.

Warto dodać, że wystawa afrykańska to nie tylko „sucha” ekspozycja, lecz także dokument prowadzonych badań naukowych wspólnie z placówkami naukowymi w innych krajach.

Ekspozycja afrykańska cieszy się zrozumiałym zainteresowaniem wśród zwiedzających.

Zabytkowy dom zrębowy w Szczecinie (rekonstrukcja) w pomniejszeniu.



Warto byłoby się zastanowić, co spowodowało, że ostatnie „Tele-Echo”, nadane z Wrocławia robiło wrażenie programu smutnego, Irene Dziedzic — osoby zażenowanej i niewiele mającej do powiedzenia (choć wiele, nazbyt wiele mówiącej), a jej rozmówcy, nieco speszzeni, bez wielkiego zapatu informowali nas o własnej działalności. Tak bardzo to wszystko było nijakie i tak bardzo odbiegało od dobrego schematu poprzednich Tele-Ech — zawsze oczekiwanych z racji nie tylko ich gospodyni, którą w dalszym ciągu uważam za jedną z nielicznych personalności w polskiej TV, ale i ciekawych ludzi, których z intuicją dobrego dziennikarza umiała wyłazić. Trudno przez moment bodaj sądzić, że Wrocław takimi indywidualnościami nie dysponuje; a więc zawiodło Irenę Dziedzic dotychczasowe wyzwanie, opuścił talent rasowego dziennikarza, przygnioty jej program wyjątkowo nieciekawe etudy Pantomimy Tomaszowskiego (zespołu skądinąd rewelacyjnego), zawiodła wreszcie angielszczyzna kapięcej od sentymentów pioseneczki Anny German — co w wrocławskiego Tele-Echa uczyniło program zły i nieporadny.

Warto byłoby się zastanowić, co spowodowało, że ostatnie „Tele-Echo”, nadane z Wrocławia robiło wrażenie programu smutnego, Irene Dziedzic — osoby zażenowanej i niewiele mającej do powiedzenia (choć wiele, nazbyt wiele mówiącej), a jej rozmówcy, nieco speszzeni, bez wielkiego zapatu informowali nas o własnej działalności. Tak bardzo to wszystko było nijakie i tak bardzo odbiegało od dobrego schematu poprzednich Tele-Ech — zawsze oczekiwanych z racji nie tylko ich gospodyni, którą w dalszym ciągu uważam za jedną z nielicznych personalności w polskiej TV, ale i ciekawych ludzi, których z intuicją dobrego dziennikarza umiała wyłazić. Trudno przez moment bodaj sądzić, że Wrocław takimi indywidualnościami nie dysponuje; a więc zawiodło Irenę Dziedzic dotychczasowe wyzwanie, opuścił talent rasowego dziennikarza, przygnioty jej program wyjątkowo nieciekawe etudy Pantomimy Tomaszowskiego (zespołu skądinąd rewelacyjnego), zawiodła wreszcie angielszczyzna kapięcej od sentymentów pioseneczki Anny German — co w wrocławskiego Tele-Echa uczyniło program zły i nieporadny.

Z trzech teatrów, które oglądałam w minionym tygodniu, także żaden nie był rewelacją. W jednym wypadku zawinił aktorzy, w innym mdłe sztuki, wybrane nie wiadomo dlaczego i dla kogo. Mam tu na myśli przede wszystkim sobotnich „Artystów”, których sensacyjnie nazwano programem rozrywkowym, a którzy w prawidłowej interpretacji zwać się winni rozrywką z myszką dla niewybrednych. Bo i czegoż tam nie było! — I stary papa — właściciel, dusza nie człowiek, i miłość supersentymentalna, i genialny komik, który alkohol wymienił na żonę, i bogaty plantator, i marzenia o Brodwayu, i... co już wymaga słów poważniejszych — świetny Dzieński — aktor i reżyser w jednej osobie, i piękna Koczevska, i wielce mi ulubiony Fiedler, któremu powinno się przyznać palmę najsympatyczniejszego aktora telewizyjnego. Nazwiska aktorów, które nie tylko zapowiadały, ale i zrealizowały świetną grę, choć przyozdobiły tę ramotę w złym stylu, nie zdołały nas przekonać, że repertuar telewizyjnej rozrywki jest wynikiem starannego doboru i przemyślenia. O ile można było zarzytać zębem na Grudę i „Piękną Helenę” za zwiariowaną inscenizację — ale uznać jedno-

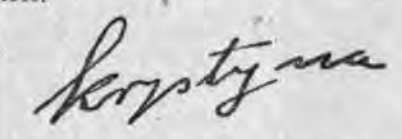
cieżnie tę adaptację za dopuszczalną, o tyle odświeżenie starej amerykańskiej bulwarówki wydaje się grzechem nie do wybaczenia, marnującym znakomitego aktora i reżysera. W czwartkowej „Kobrze” Skowrońskiego „As Pikiowy” było dużo tajemniczości w bardzo groźnym skądinąd temacie zbrodniarzy wojennych, niezdarne reżyseria Józefa Pary, polegająca na monotoni sytuacji i jego świetne aktorstwo będące zapewne pięknym przypomnieniem dla tych, którzy oglądali na V Spotkaniach Teatralnych jego „Sulkowskiego”. Natomiast poniedziałkową „Przygodę Florencę”, znów w reżyserii Edwarda Dziewońskiego wznowioną dla uczczenia śmierci Ludwika H. Morstina oglądałam z mieszany mi uczuciami. Te bliżej komejdylki, wystawiana przez Teatr im. W. Siermaszkowej przed niespełna 10 laty, w której autor zamknął polskie emigracyjne nostalgii, przygotowane w TV tak bardzo starannie, dano jej tak świetną oprawę scenograficzną, tak znakomitą przy tym Giovannę — Alfredę Sarnauską, że stała się spektaklem rzeczywiście godnym ocen najlepszym.

Kiedym zaś przypomniała sobie pana Morstina i słowa, które do mnie kierował przed tymiż 10 laty, że bardzo lubi tę swoją sztukę, że jego zdaniem, Giovanna — to jedna z najpełniej narysowanych przezeń postaci kobiecych — zdanie Marczałka — Oborskiego, arcyempatycznego komentatora teatru Morstina, który powiedział, że najlepszym dowodem uczuć wobec zmarłego autora będzie uznanie jego sztuki za sztukę żywą — to zdanie nie miało w sobie nic z truizmu. Pozwalało nawet wybaczyć TV przesunięcie premiery „Chłopców” Grochowiaka na wresień...

I wreszcie muszę tu wspomnieć o programach niedzielnych „W Starym kinie” — konsekwentnej antologii filmu światowego, z których ostatni poświęcono muzyce w filmie. Jeżeli byli tacy, co spodziewali się zła-gierów najsławniejszych — zawiedli się, bo pokazano nam rzetelną interpretację podkładu muzycznego, zsynchronizowanego z obrazem; pokazano przy tym znakomity film dokumentalny polski o Warszawie, z angielskim komentarzem, a założeniach formalnych świetnych artystycznych.

I, by zrobić po raz pierwszy pewnie wyłom w zasadzie, że nic w tych felietonach o telewizyjnych filmach długometrażowych, które uważam za bardzo zubożone na małym ekranie, choć dwa zdania o „Rudzielcu”!... Wrócił do nas najświetniejszy Duwivier z lat 30, dziś może dla niektórych anachroniczny, kiedyś wielki buntownik kina francuskiego, mistrz psychologii, prestidigitator techniki — twórca drapieżny i zarazem humanistyczny. O Harry Baurze i Robertcie Lynen — nie ma co pisać; Lynen zwiaszcza — brzydki, wiewiórkowaty chłopak, stworzył kreację z pogranicza patologii nieszczęśliwych. „Rudzielce” — to właśnie najczystsza forma kina w telewizji; kina arcydzieł, kina zapomnianego, odchodzącego w przeszłość.

P. S. Kiedy to piszę „Uśmiechnięty mężczyzna” jest dopiero w zapowiedziach. Kiedy to przeczytacie jego uśmiech przerazi wasze poczucie moralne, nie przegapcie po raz drugi dokumentu o zerwianiu, o casusie „Kongomuller” — jednego z najgłośniejszych w świecie, który jego twórcą Waterowi Heynowskiemu, Gerhardowi Scheumanowi i Peterowi Helmichowi przyniósł „Złote Wawrzyny” — nagrody Telewizji NRD.



## WIDNOKRĄG ODPOWIADA

**Ob. St. P. — Machów k. Tarnobrzega:** Nadesłane nam wiersze, niestety, nie nadają się do publikacji. Mówi Pan bowiem przy użyciu graficznej formy wiersza zwykłą prozą, potoczną i codzienną. Np. w wierszu „Nasze sprawy” (pozwolimy sobie zastosować inny układ graficzny) czytamy: „Tysiącletnia historia nauczyła nas rzeczy, które nie co dzień się spotyka. Tysiącletnie istnienie doświadczyło nas wszystkim co tylko jest możliwe. Tysiąc lat minęło — z tej próby wyszliśmy nie pokonani lecz silni!”... I gdzież tu poezja? To samo znajdujemy w pozostałych tekstach, z tym, że w utworze „Do przyjaciela w Hiszpanii” pozwala Pan sobie na bardzo rytmiczne rymy, jak: Łzy — wszy i banki — kajdanki. Nie skorzystamy.

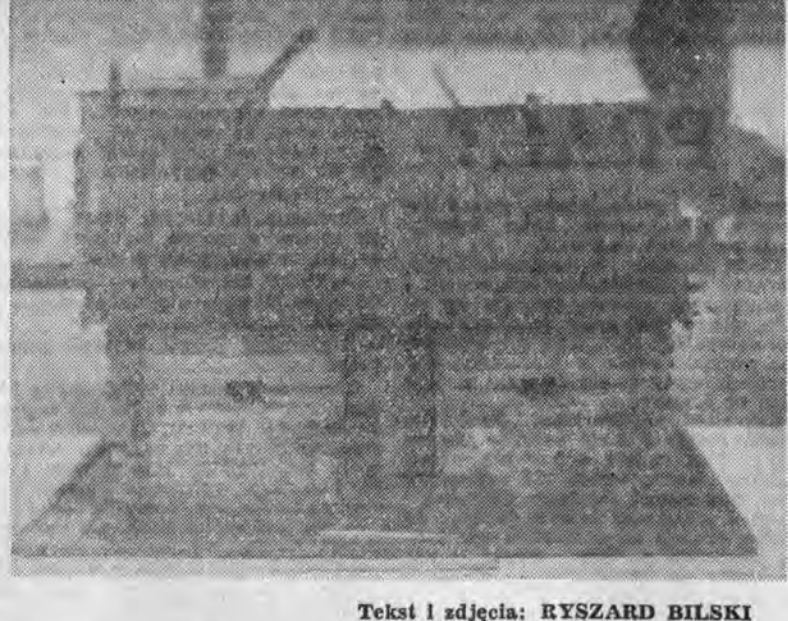
**T. K. — Krosno:** W wierszu „Zapomniana natura” — „czarny powiew nocy przyniósł krzyk ciszy z zimnej toni przestrzeni”, lub „na portrecie twoich myśli kołysze się kwiat sennosci”. To, niestety, grafomania. Nie rokujemy nadziei na sukcesy w poezji.

**J. Sz. — Olszanica:** Wiersze coraz lepsze, ale warto jeszcze pracować nad klarownością wierszy i dojrzałością formy. Teksty nadesłane zachowujemy w tece, ale bez zobowiązań druku.

**M. K. O. — Stalowa Wola:** Warto pracować dalej w tym kierunku. Wiersze świadczą o ruchliwej wyobraźni i wrażliwości. W tej chwili brak im jeszcze precyzji i zwiezłości, ale jest w nich wiele ładnych rzeczy.

**St. B. — Hyżne:** Opowiadanie jest bardzo niedobre, wydumane, język wynaturzony, uduchowiony mnióstwem dziwnych przenośni. Np. „Pociąg szerszował z szybkością mustanga spierzzonego przez powiew traw”... Albo: „Turkotał o ocieźlate wznieśnienia z międzyrzeką o fujarkowym ułożeniu z wyspekami w porośnięciu...” „Aż wreszcie spadał intruzem na większą stację...” itd. W prozie konieczna jest maksymalna naturalność i komunikatywność języka przy równoczesnym bogactwie myśli i obrazów.

**F. C. — Rzeszów, H. R. — Przemysł:** Nie skorzystamy. Wiersze nie mają wartości artystycznych.



Tekst i zdjęcia: RYSZARD BILSKI



**ALEKSANDER MAJKOWSKI:** Życie i przygody Henusa. Gdynia 1966, Wyd. Morskie s. 331, cena 21 zł 40.

Dzieło życia jednego z najwybitniejszych Kaszubów — największego pisarza kaszubskiego. Napisane i wydane w pięknej mowie kaszubskiej w roku 1959, zostało teraz przetłumaczone przez Lecha Bądkowskiego. Książka ta odzwierciedla rzeczywistość społeczną, obyczajową i kulturę Kaszubów w II połowie XIX i początkach XX wieku.

**JANUSZ PRZYMANOWSKI:** Studzianki. W-wa 1966, MON s. 571, cena 21 zł. Oparta na dokumentach, historycznie prawdziwa. Książka o ludziach i losach brygady im. Bohaterów Westerplatte, relacjonuje w sposób popularny partiami literackimi, przebieg bitwy we wsi Studzianki w roku 1944. Liczne ilustracje, mapy.

**ROBERT LOUIS STEVENSON:** Wyspa skarbów. W-wa 1966, „Iskry”, s. 190, cena 9 zł. Wyd. V.

osiemnastowiecznych piratów. Dobra lektura dla miłośników przygody.

**DYLAN THOMAS:** Szczegółowy portret artysty. W-wa 1966, PIW, s. 228, cena 16 zł.

Jedenaście opowiadań angielskiego poety (1914—1953) składających się na tom, posiada charakter wybitnie autobiograficzny. Autor wraca w nich w świat swego dzieciństwa, ukazuje specyficzny zakątek Anglii, jakim jest Walia. Zaduma, humor, fantazja oto dalsze cechy tej książki.

**HALINA ROZWARDOWSKA:** Wspomnienia ważne i nieważne. W-wa 1966, MON, s. 300, cena 25 zł. Poznań: St. R. Dobrowolski.

Kolejna pozycja z serii literatury wspomnieniowej. I tym razem okres wojny i okupacji hitlerowskiej. W sugestywny sposób przedstawia autorka specyficzną sytuację okupowanej stolicy. Prosty, komunikatywny język.

**ADAM BARAŁARCZYK:** Lesne boje. W-wa 1966, MON, s. 446, cena 39 zł.

III kolejne (uzupełnione) wydanie wspomnień oficera II brygady AL „Swit”. Obraz życia i walk partyzanckich na terenie Kielecczyzny.

**KRZYSZTOF DUNIN-WASOWICZ:** Obóz koncentracyjny Stutthof. Gdynia 1966, Wydawnictwo Morskie, s. 283, cena 30 zł.

Prof. dr Dunin-Wasowicz na podstawie dokumentów archiwalnych: polskich i zagranicznych omawia historię pierwszego i największego funkcjonującego miejsca karnego na Pomorzu, w którym zginęło dwie

trzyście uwielbionych tam ludzi. Mapy i ilustracje.

**M. KAUFMAN:** Pierwszy wiek tworzy sztucznych. Celuloid i jego następcy. W-wa 1966, PWN, s. 182, cena 10 zł.

Historię tworzy sztucznych rozpoczęło odkrycie celuloidu w 1862 r. Książka ukazuje dzieje jego powstania i rozwoju, a przede wszystkim historię walk i osiągnięć ludzi będących pionierami w tej dziedzinie. Kończąc część pracy poświęconą ostatnim 25 latom, w których rozwija się przemysł tworzyw sztucznych. Omawia jego osiągnięcia w Polsce i za granicą, wskazuje perspektywy na przyszłość.

**JANUSZ KSIĘSKI:** Patuki. Gdynia 1966, Wyd. Morskie s. 119, cena 10 zł.

Mała monografia regionu stanowiącego część Wielkopolski. W popularny sposób ukazuje piękno tej ziemi, jej przeszłość i bogatą kulturę ludową. Zawiera też rozdział: „Patuki w Polsce Ludowej”. Ostatnia część poświęcona turystyce na Patulkach spełnia rolę informatora dla tych, którzy w turystycznych wędrówkach przemierzają te tereny. Liczne ilustracje.

**WITOLD DOROSZEWSKI:** Wśród słów, wrażeń i myśli. Refleksje o języku polskim. W-wa 1966, PIW, s. 474, cena 30 zł.

Bogaty zbiór prac wybitnego polskiego językoznawcy, będący przeglądem bogactwa problematyki językowej. Znajdziemy tu m. in. prace dotyczące funkcji języka, rodzajów stylu, poprawności językowej, wreszcie rozdział poświęcony nauczaniu języka polskiego. Zainteresowani znajdą tu również pewne wiadomości o języku Mickiewicza i Zeromskiego.

Na naszym ekranie

Julie Andrews

Jej lata dzieciństwa i młodości (tej pierwszej) przypominają analogiczny okres w życiu Chaplina...



w kręgu sceny od najmłodszych lat. Rodzice występujący w rozmaitych wodewilach i rewiach nie pozwolili jej zresztą długo próżnować...

Pierwszy sukces na dużej scenie w samym Londynie odniosła Julia mając lat dwanaście. Występ w Moss Empire Circuit umożliwił jej Val Parnell...

Ma osiemnaście lat, kiedy otrzymuje zaproszenie do Stanów Zjednoczonych. Kiedy po roku pojawia się tam, grając w „Boyfriendzie”...

I oto zdarzyła się historia, która bawiła się cała Ameryka i która narobiła trochę szumu w artystycznym świecie.

Producent filmowy Jack Warner postanowił przenieść „My Fair Lady” na ekran. Dobierając zespół aktorski przyjął scenicznego odwoławcę postaci Higginsa — Rexa Harrisona...

Jack Warner realizuje „My Fair Lady”, a jednocześnie w wytwórni Walta Disneya trwają prace nad filmem „Mary Poppins”.

dynu, Angielka, musi u amerykańskiego profesora uczyć się cokeney'u — gwary z przedmieść angielskiej stolicy.

Po pewnym czasie oba filmy wchodziły na ekrany. Oba także stały się do współzawodnictwa o nagrodę Akademii Filmowej — Oscara...

Oscar i film „Mary Poppins” sprawiają, że Julie znajduje się u szczytu sławy. Popularność jej jest ogromna. Aktorka jednak ma jeszcze jeden szkopuł...

W miesiąc po „Mary Poppins” gra w filmie „Amerykanizacja Emilii” (nie w nim nie śpiewając).

Hollywood zasypuje ją ofertami. Gra w filmie „Hawaje”, a następnie w „The Torn Curtain” w reżyserii Alfreda Hitchcocka.

Mężem Julie jest Tony Walton, przyjaciel lat dziecińczych z jej rodzinnego miasteczka Walton. Mają czteroletnią córeczkę Emmę.

(w. s.)



EUGENIA STEC — nauczycielka z Domaradza.

Rys. J. SIENKIEWICZ

DWUTYGODNIK POSWĘCONY OBYCZAJOM SARMATÓW



REDAGUJE E. GAJEWSKI RYSUJE J. SIENKIEWICZ

ALBOSMY TO CACY, CACY...

ZA DWA TYGODNIE wyjeżdżam na wczasy. Na szczęście zrobiłem generalny przegląd garderoby...

Pamiętam jak dziś, miesiąc temu obchodziliśmy w biurze uroczyste „Dzień Dnia”. Wtedy ten salata Sar-

choć plekto niemilosłownie narzuciłem na siebie trenz. Ubranko, które miałem na sobie, kapkę było przenoszone na lokciach.

Na ulicy trochę dziwnie ludzie na mnie patrzyli, ale pał było, grunt że na wczasach... Ta myśl mnie uskrzydliła, i nie wiem, nawet kiedy znalazłem się w punkcie pralniczym...

Chwileczkę. Czekałem chwileczkę dobrą, wrzeszcze panienka raczyła mruknąć...

Garniturek ostatni krzyk mody kosztował w ubiegłym roku, jak w pysk strzełzył 3,5 tysiąca. Co robić, aby czyszczenie nie nadszarpnęło...

— Jak to mam rozumieć? — Jak pan chesz! — A jak z tą odpowiedzialnością? — Coś pan wczoraj, politycznie nie zaangażowany...

— Az ścisnęło mnie w dołku. Leżę jak amen w pacierzu. — Ależ kochana panienko, ja za dwa tygodnie na wczasy...

— Szczyt! — Nie żaden szczyt, tylko nad morze... — Coś pan niegramotny. Teraz pełnia sezonu pralniczego!

— Ani mi to w głowie, na dworze upał, jak... i paraduj dziesięć dni w trenzu. Do punktu zgłosiłem się po 10 dniach...

— Nie moje. Moje w stalowym!

OBJAZDOWE WYSTAWY m. in. „Polski krajobraz XIX i XX wieku”, „NRD oskarża”...

SEJMIK poświęcony sprawom rozwoju działalności oświatowej i kulturalnej w pow. rzeszowskim...

SPOTKANIE z działaczami kulturalno-oświatowymi ze Lwowa zorganizowane w ubiegły poniedziałek...

„BAL U SALOMONA” w wykonaniu Teatru Poezji z Powiatowego Domu Kultury w Lubaszowie...

PRAĆ CZY PRAĆ?



kowski, nie polska głowa, stracił salaterkę z majonezem, która wylądowała na moich kolanach.

Drugi garnitur — dosłownie drugi, ubranko na okoliczność: konferencji i ważniejszych zebrań, całkiem u użyciu, gdyby nie mały mankamentik.

— Szanowna pani dyrektorowa „flance” pomidorów już wsadziła? Dyrektor westchnął: „trudności kadrowe, nie ma kto grządek skopać”.

— Po nocach nie śpię, brak fizycznego wycięcia, robota intelektualna, jeszcze zawał człowieka trafi. Ja tak dla zdrowia, chętnie skopałbym ogródek.

— Służba nie druźba, tak sobie to wszystko dzisiaj reasumuję i nabieram pewności, że nie mam w czym jechać na wczasy.

— Na co jeszcze czekasz. Skocz na jedną nodze do pralni, bo ci pozostanie jedyna ewentualność: jechać w stroju adamowym...